



Pismo miesięczne z obrazkami

→ wychodzi w pierwszą niedzielę każdego miesiąca. ←

Redaktorka i wydawczyni:

MARJA WYSŁOUCHOWA.

PRENUMERATA WYNOŚI:

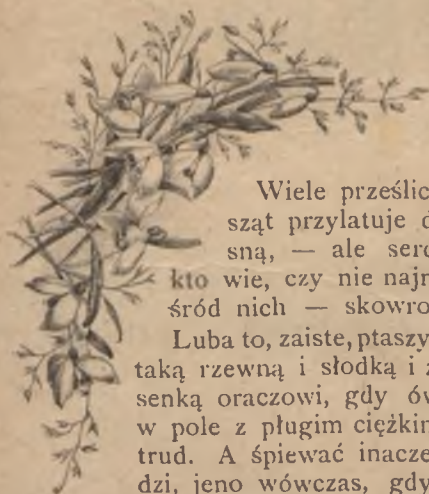
Rocznie wraz z przesyłką pocztową — 64 halerzy.

W Wielkopolsce i innych ziemiach zaboru pruskiego — 70 fenigów.

Adres Redakcji i Administracji: Lwów — Chorążczyzna 5.

Z zapomogi Wydawnictwa Imienia ś. p. Kasyldy Kulikowskiej.

Skowronek.



Wiele przeslicznych ptasząt przylatuje do nas wiosną, — ale sercu rolnika, kto wie, czy nie najmilszy z pośród nich — skowronek!

Luba to, zaiste, ptaszyna! Dzwoni taką rzewną i słodką i zbożną piosenką oraczowi, gdy ów wyjeżdża w pole z pługim ciężkim na ciężki trud. A śpiewać inaczej nie poradzi, jeno wówczas, gdy wzbije się wysoko pod niebiosa, lub gdy przypadnie piersią bijącą do ziemi, szarej, jako i on sam. To znaczy, że podobają mu się naj-

bardziej one jasne błękity, po których słońko uśmiechnięte chodzi i ta droga ziemia — żywicielka, po której stąpają ludzie, znacząc ślady swoje nie tylko potem, lecz często i łzami...

O luba, o miła ptaszyna!

Nic też dziwnego, że lud wiejski, co umie snuć z wyobraźni przepiękne opowieści, ułożył i o skowronku wzruszającą legendę. Wedle onej legendy ludowej, serdeczne ptaszę, widząc Chrystusa, umęczonego na krzyżu, ulitowało się nad Panem i gorąco współczuło cierpieniom Zbawiciela. Wzruszały go zwłaszcza czerwone krople krwi, co spadały z pod cierniowej korony. Więc spuścił się z wyżyny i odłamał dzióbkiem jeden przynajmniej z ostrych cierni, co raniły skroń przenajświętszą. Widząc to Matka Boska, umiłowała skowronka wśród innych ptasząt i szczegółną go odtań otacza

opieką. Powiadają nawet, że całą zimę skowronek spędza w niebie i śpiewa od zorzy porannej do ciemnej nocy u stóp tronu Przejrzystej Paniąki.

Jest jeszcze i inne opowiadanie o skowronku, niemniej śliczne, może jeszcze śliczniejsze. Powtórzę je Wam tutaj, drodzy Czytelnicy, wedle słów znakomitego pisarza czeskiego, Juliusza Zejera. Posłuchajcie jeno, jak on to pięknie opowiada:

»Gdy Chrystus z martwych powstał, zaradowały się ptaki weselnie; przez czas, gdy w grobie leżał, milczały smutnie, a teraz prosily Zbawiciela, aby z Nim mogły pozostać na wieki. Gdy Pan im rzekł, że do nieba wstępuje, chciały koniecznie z nim. Leciały, leciały, ale powoli nużyły się, gdy Chrystus coraz wyżej i wyżej, tak zawrotnie wysoko do chwały niebieskiej się wznosił. Padały ku ziemi jeden po drugim,



aż został jeden tylko skowronek. Ten wszakże leciał ciągle, nawet wówczas, gdy już i orzeł dalej wznosić się nie zdołał. Miał takie dla Syna człowieczego przywiązanie wątyły ów tworek, że przez zapal od orła mocniejszym się stał i w locie go przewyższył. Ale gdy do słońca doleciał, osmałiła mu ta niezmierna niebios watra skrzydełka tak srodze, że biedak ranny padł

wreszcie na ziemię w trawę, z kąd jeszcze za Panem pieśnią gonił, jasną jak srebro, przenikającą błękit niebios, jak promień światłości».

Na pamiątkę onej wielkiej miłości, która kazała drobnej ptaszynie zapomnieć o ziemi i lecieć wysoko — coraz wyżej, aż w samo jądro słońca, wszystkie skowronki mają od-tąd czarne, opalone skrzydełka.



RĘKAWKA.

(Odpowiedź p. Rudnickiemu).



Obachód, zwany rękawką, odbywa się tak: we wtorek po Wielkiejnocy gromadzą się tłumy narodu z Krakowa na wzgórze za Podgórzem, u stóp mogiły Krakusa.

Wierch góry zajmują zwykle ludzie zamożniejsi z miasta, natomiast zbocza i stok niższy biedni, przeważnie chłopcy z rzemiosł i drobnych warstatów. Ci z góry rzucają na dół: bułki, obwarzanki, jaja ugotowane i insze przedmioty — a ci z dołu chwytają je w locie, z upragnieniem i radością nie małą.

Co oznacza ten obchód, i skąd jego nazwa?

Oto dawniej, za dawnych, bardzo dawnych czasów zgromadzał się naród przy świeżej mogile, usypanej rękami sławnemu wodzowi, i tam, jakoby na stypie pogrzebowej,

bawiono się i rozdzielano chleb pomiędzy biednych. Nie była to jednak stypa, jaka zwyczajnie bywa u nas w niektórych zakątkach, ale raczej ofiara zaduszna (zaduszki) składana i obchodzona — nie jak u nas powszechnie w jesieni, ale w pierwszych dniach pogodnych rozkwitającej po dolinach wiosny. Zwyczaj był: biesiadować na mogiłach zmarłych i ostawiać resztki jedzenia z tych biesiad dla dusz, potrzebujących ratunku, pomocy i dla żyjących biednych. Zwyczaj ten, jak widzimy, przetrwał wieki całe, ale się dużo za czasem odmienił, i dziś jest jeno pamiątką, wspomnieniem owych pradawnych obrzędów. I nie tylko u nas, w Polsce, ale wszędzie wśród słowiańskich narodów te obrzędy były znane i obchodzone długo: na

Białorusi, u Serbów, u Słowian nadelbiańskich i t. d. Nawet i w Pradze czeskiej, jak u nas w Krakowie, gromadzi się lud przy grobach, czcząc przez rzucanie jaj pamięć pogańskich zaduszek.

Jedną z najstarszych mogił w Polsce, jest mogiła Krakusa, od którego imienia, według podania, Kraków ma początek; przy tej mogile dochował się do dziś dnia obchód rękawki. Ale, jak się już rzekło, nie jest to tarękawka, jaka się odbywała dawniej przy mogile, ale raczej pamięć coroczna zaginionego obrzędu, jaki tu miał miejsce za pogańskich czasów. A rękawką zowie się pono na wspomnienie tego, że na mogiłę Krakusa w rękach nanoszono ziemi, i rękami ją naród z wdzięczności usypał.

NAD OLZĄ.

Płyniesz, Olzo, po dolinie płyniesz, jak przed laty, —
Jakie same na twym brzegu kwitną wiosną kwiaty.

Ā twe wody się w swym biegu jeszcze nie zmąciły;
Twoje krople lśnią się w słońcu, jak się dawniej lśniły.

Pły - niesz, Ol. szo, po do. li nie, Pły. niesz, jak przed
la. ty; Ta. kie sa. me na twym brze. gu
kwi. tną wiosną kwia. ty. kwia - ty.

Ā ludzie w swoim życiu zmienili się bardzo:
Zwyczajami, wiarą przodków ledwie że nie gardzą.

I dąb z dębem na twym brzegu, jak szumiał, tak szumi,
Lecz wnuk starą mowę dziadów ledwie że rozumie.

Na twym brzegu dawnym śpiewem słowik się odzywa,
 A dziś śliczne nasze pieśni ledwie że kto śpiewa!...

W świętej ziemi Chananejskiej rzeka Jordan płynie,
 W jego wodach Izraela lud brał oczyszczenie;

Więc z modlitwą ukląknąłem w pokorze przed Panem:
 Byś się stała, O! zo, takim i dla nas Jordanem!

Potem kiedyś — gdy po falach wiosną wiatr zawieje,
 Wnuk usłyszy w tych fal szumie swoich przodków dzieje.

I usiądzie na twym brzegu dumać nad przeszłością
 I żyć będzie dla swej ziemi czynem i miłością!

Jan Kùbisz.

Piąty dzień po Wielkiejnocy na Litwie.

Trzy razy do roku lud wiejski na Litwie wspomina swe umarłe, w dni, ściśle oznaczone wiekowym zwyczajem. Późną jesienią, gdy roboty rolne zakończył i wraz z naturą zamiera na długi zimowy spoczynek, sprawia swym zmarłym Zaduszki, na Litwie zwane Dziadami, darzy ich kołaczem i kaszą, odprawia modły. W końcu zapust powtórnie dzieli się z nimi jadłem i napitkiem, zastawia wieczorem stół, zapala święconą świeczkę, domownicy uroczyście siedzą na ławach,

a gospodyni, rozwarwszy okienko, trzykrotnie nawołuje: »Dziady, dziady, chodźcie wieczierać!« Nazwa »dziadów« oznacza tu wszystkich zmarłych ojców, — czyli przodków.

I czekają w milczeniu gościny duchów, wpatrzeni w gromnicę, licząc po jej chybotaniu ilość biesiadników.

Z wiosną — kto przezimował, kogo nie umorzył post rzetelny, kto wytrzymał duszność chaty, ten się raduje Chrystusowem Zmartwychwstaniem i wspomina swoich zmarłych.

Owoż we czwartek po Wielkiejnocy, skoro słońce błysnie, w każdej chacie jedna lub dwie kobiety szykują się w odwiedziny na groby. Ubiierają się odświętnie w białe płótno, wynoszą z komory zachowane umyślnie na ten cel resztki święconego i zawinawszy je

*) Piękne to opowiadanie o zwyczaju ludu litewskiego skreśliła głośna powieściopisarka M. Rodziewiczówna. »Zorza« je powtarza w lekkiej przeróbce.

w fartuch, idą, jedna za drugą, za wieś, na piaski cmentarne. Idą, skupione i uroczyste, boć spełniają odwieczny obrządek. Słońce się podnosi i cmentarz, zwykle zapomniany i opuszczony, zaludnia się temi białemi postaciami.

Każda z tych kobiet odszukuje swojej mogiły wedle sobie tylko wiadomych znaków. Jedna na grobie córki powiesiła na krzyżu kilka sznurów paciorków, druga na grobie matki obwiązała krzyżyk czerwoną nicią, inna na mężowskiej mogile zawiesiła fartuszek z wyszytymi na rogach krzyżykami.

Pastuszki i włóczęgi często zabierają te pamiątki, wtedy kobiety zbierają się po kilka, przypominają, gdzie kogo chowano, przy kim leży i wreszcie każda odnajduje swoich.

Wtedy naprawia mogiłę, rękami zgarnia znowu piasek na kopczyk, zbiera ułamki krzyża, prostuje go, i ramiona zakłada, zawiesza nowy fartuszek.

Jest to dopiero wstęp do właściwej ceremonii. Zaczem kobiety zaścielają obrusami kopczyki mogilne i składają na nich kołacz i jaja, ser i kiełbasę i flaszkę wódki.

Potem siadają naprzeciw, podpierają brodę pięścią i zaczynają z nieboszczykami pogwarę.

— Oj, córuchno moja, córeczko! — zawodzi matka. — Nie chcesz ty mi praść, ani tkać. Samą mnie zostawiłaś na robotę. Nie masz ciebie, niemasz. Oj dolaż moja, dola, doleńka!

Głos się coraz podnosi, nabiera dźwięku wiatru jęczącego, i łączy się w jeden chór z setką innych, co oplakują mężów i ojców, braci i matki, synów i wnuków.

Trwa to długo, cichnie, to znowu rośnie, ogarnia cały cmentarz, aż wreszcie któraś się podnosi — nalewa czarkę wódki, żegna się i woła:

— Piję ja do ciebie, córus serdeczna! żebyś wiedziała, że ci nic tego nie żałuję i światło Boże niech ci świeci.

I wylewa czarkę na piasek.

I zaczyna się biesiada.

Łamią kołacz na kęsy i pytają się zmarłego, czy pamięta zagonki, które opuścił i opowiadają mu o bujnych runiach i znoju żniwa, którego z nimi nie podzieli. Drobia ser i wspominają bydłeta, które chował, prawią mu o dziejach krówki karmicielki i wołów pracowitych, których nie zobaczy wskroś ziemi, co mu oczy zakryła.

Całą historję ludzi i dobytku opowiadają mu, spożywając tę ucztę, i na piasek mogiły kładąc wszelkiego posiłku cząstkę dla ducha współbiednika.

Potem, pod wpływem poczęstunku, rozczulają się, zbierają w gromadki, gwar rozmów staje się żywszy, wspominają różne dziwy, strachy; a wreszcie smutek i zawođenje przechodzą w jakąś dziką uciechę z wiosny, z życia, wśród mogił rają o swatach, o weselac, — rozpoczynają się śpiewy i śmiechy.

O zmroku zabierają się do odwrotu, sprzątajac resztki jadła i ciągną ku wsi gwarnym tłumem, który niczem nie przypomina żałobnego obrządku.

Wieczorem wracające pastuszki odwiedzają cmentarz. Bieleje cały od nowych fartuszków ofiarnych — na krzyżykach błyszczą paciorki i wstążeczki czerwienieją. Chłopaki rabują potrosze, a potrosze szperają po ziemi, szukają kołacza lub sera.

Po ich przejściu mogiły znowu zostają samotne i opustoszałe.

Marja Rodziewiczówna.





PIERWSZY RAZ W POLE.

Długo zagniewane słońko uśmiechnęło się wreszcie ziemi i zbudziło ją do życia. W naturze wszczął się ruch.

Szare ptaszę nad niwą, klucz żórawi, ukryty w obłoku, echo kukułki w nagim borze, szmer krzątających się ludzi po wsiach, skrzywienie pługów na wilgotnych zagonach — wszystko to powtarza od rana do nocy wspaniałą pieśń:

— Wiosna!...

Nawet gdy zorze na zachodzie zbledną i gdy Anioł snu roztoczy skrzydła nad siołem, pieśń ta nie ustaje, bo ciągną dalej jej wątek żaby w jeziorze pode dworem.

Pieśń tę słyszy dobrze Janek, który wyszedł po wieczery na nocleg do stodoły. Obija ona mu się o uszy dzień cały, ale obecnie, przy wieczornej ciszy, odczuwa ją całą rozbudzoną marzeniami duszyczką.

— Wiosna, wiosna! — krzycz, rozbawione »weselochy« w jeziorze, aż wieś się rozlega.

A Janek w żaden sposób nie może odmówić pacierza, jeno się ciągiem myli i myli. Już trzy razy zaczynał od „Ojcznasza« i żadnym razem nie skończył. Raz pomylił się w połowie »Wierzę«, drugi raz na przykazaniach, a za trzecim razem, był

już bliski końca, aż tu jedna z najstarszych żab zabiera głos i widocznie chce swoich poddanych przekrzyczeć. Więc Jankowi pacierz urwał się przy samym końcu.

— Żebyś się zmarnowała! — zaklął, przeżegnał się i, postanowiwszy jutro rano odmówić dzisiejszy pacierz, rzucił się na słomę. Lecz nim zdołał się utulić, objął go strach.

— Ta najstarsza »weselocha« jest mądrzejsza, niż sam pan dziedzic. Przynajmniej tak mówią w całej wsi. A stary Bartek nieraz wspomina, że ona ma więcej, niż kopę lat, bo jak tylko zapamiętał, ona ciągiem rej wodzi w dworskiem jeziorze.

A nużby ona przyszła „natchnąć« mnie za mój przeklętek, — zaśpię!... Za dwa dni pochowałiby mnie na cmentarzu, a tu tak wesoło! Taka piękna wiosna!... Ba, ale ja zawsze grzecznie nazywam tych wodnych śpiewaków »weselochami« — pocieszył się nagle Janek — a one za to muszą być wdzięczne, więc gdyby ta stara chciała iść mścić się, to jej nie puszczają...

Myśl ta jednak nie dozwalała mu zasnąć, chociaż długo zaciskał powieki, siłąc się na sen. Wreszcie obrócił się na drugi bok. Światło miesięczka przedzierało się przez płot w ścianie stodoły, jak przez rzyszoto.

Otworzył już teraz szeroko oczy, westchnął i pomyślał o jutrzejszym dniu, w którym miał pierwszy raz wyganiać »chudobę« na ugór. Myśl ta wstrząsnęła nim do głębi. Bo też czekał na to całą zimę z większem pragnieniem, niż święconego jajka ..

Jutro zatem wstanie o świcie, otrzyma wielki śniadanie za pazuchę, weźmie ze sobą kozik do strugania patyczków na klatkę, weźmie starą ulubioną fujarkę, oblepioną

smołą, bowiem łońskiego roku stanęła na nią racicą krowa, więc musiał ją smołą zalępić. A bat! Już z miesiąc leży gotowy za krowią. Biczysko nowe, »splitane«, »końcarz« długi z włosienia. Jak wyjdzie za wrota, jak trzaśnie, aż ludzie we wsi się polekną. Nie zapomni też wziąć za pazuchę i książki, którą dostał na egzamin. Książka to śliczna. Za dziesięć fujarek by jej nie

jest w chłopską sukmanę. Janek nieraz modli się do niego, żeby mu wyrobił u Pana Jezusa taką odwagę, jaką miał Bartosz Głowacki.

— Hej, mocny Boże! — szepcze z żalem — czemuż to ja wtedy nie żyłem. Nie o samym tylko Bartoszu śpiewanoby teraz piosenki!...



Chłopi biorą armaty czarnemi od pluga rękami.

oddął. Co druga kartka jest w niej obrazek, a każdy przedstawia pięknego rycerza. Są to królowie polscy od Piasta aż do Kościuszki. Ten ostatni podoba mu się najlepiej, chociaż korony na głowie nie ma, jak inni. A podoba mu się dla tego, że odziany

Wreszcie poczęły mu się powieki do snu kleić. I nie dziw! Któżby nie zasnął, gdy go tak śliczne marzenia ukolyszą?

Wtem drzwi od chaty skrzyknęły. To tatuś wyszedł nadłuchiwać, czy złodzieje nie zakradają się do ziemniaków w kopcu.

Bo też to na wiosnę za ziemniakami ścisk. Co roku o tym czasie robią mu te psiewiary »parazytkę«.

— Maryna, a gdzie będziemy »lin« siać? — ozwał się ojciec Janka, bębniąc po szybie w oknie.

— Tam, gdzie wielgi się urodził! — brzmiała kobieca odpowiedź w chacie.

— Aha! — pomyślał Janek, który na dobre się rozbudził. — Tatus pierwszy raz słyszą tego roku rzechotanie »weseloch« i umyślnie tak się przez okno pytają, wedle tego, coby dobry len się urodził.

Tatus wrócił do chaty, kałatnął zasuwą i widocznie zasnął, bo zaraz się uciżyło, ale Janek począł na uowo myśleć o jutrzejszej uroczystości, która jest dla niego droższa, niż sama Wielkanoc.

— Żeby to jak najprędzej doczekać jutra! — szeptał — żeby już raz »zaspać«, a może prędzej będzie!

Lecz sen nie zjawiał się wcale. Już i »weselochy« pocichły i miesiąc schylił się za górę, natomiast po całej wsi rozległ się głos kogutów, a Janek jeszcze nie spał. Wreszcie skowronki poczęły się odzywać na zagumniach, zazula zbudziła się gdzieś daleko w lesie i zorze na wschodzie zapłonęły. Janek wciąż myślał o tych rozkoszach, które go czekały.

— Nie długo jednak będzie tej mojej uciechy — wspomniął z rozpaczą — mam już 13 lat. Do szkoły przestałem chodzić. Wnet młodszy brat, Wojtuś, zostanie pastuchem, a ja parobkiem. Dla czego ja tak prędko rosnę? Czyż nie lepiej by było, żebym wciąż był taki mały i ze stadkiem swoim nie rozstawał się nigdy?

Ale wnet zganił w duszy tę myśl. On powinien wyrósć silny, jak dąb, a wie dobrze, dlaczego. Czytał o tem raz w książce na tej samej kartce, gdzie namalowany jest Kościuszko... Ale on o tem nikomu na świecie nie wspomni. Cała wieś by go wyśmiała i nazwała »głupim Jasiem«. A przecież od czasu, kiedy przeczytał książeczkę o powstaniu Kościuszki, poczęło w nim coś wrzeć, i choć sobie nie zdawał sprawy, co to było, popuścił wodze tej tajemnej sile, która wzrastała w nim z dniem każdym. Siła ta miotała nim zawsze, gdy spać się położy, lub kiedy zapatrzył się, pilnując krówek w polu, w siną dal widnokregu.

Gdy ranek strzechy pobieliał, Janek wstał, umył się rosą z murawy na podwórzu, otarł twarz połą kaftana, zmówił pacierz za wzo-

raj i za dziś i zbudził siostrę, aby krowy szła doić i okurzyła je święconem ziele.

— Pewnikiem ksiądz, który pierwszą mszę odprawia, tak się nie raduje, jak nasz Janek dziś — zaszczębiotała wesoło Kasia, siostra Janka, do matki, biorącej także udział w niezwyklej dorocznej ceremonji wyprawiania chudoby pierwszy raz w pole.

I rzeczywiście Janek uważa się dziś za najszczęśliwszego człowieka w świecie, pomimo, że przymrozek wiosenny szczypie go dobrze po bosych nogach. Oto rozpoczyna się dla niego nowe życie wśród ukochanej natury. A życie to takie swobodne, takie miłe, takie wolne! Co prawda, ma ono także swoje ciernie, jak: słota, lub brak podwieczorku, ale i te rzeczy mają swój urok. Wresztą czegoż obecnie może mu brakować? Ma spory kęs chleba za pazuchą, którym jeszcze krówki obdzieli, ma wodę w źródle czystą, jak kryształ, ma fujarkę, na której będzie przygrywał skowronkom do wtóru, ma wreszcie książkę, z której dawną potęgę ojczyzny wyczyta!...

I popędził chude, nie wylenione ze wszystkim, Łyse i Kaliny na ugory. W głowie mu się coś od wielkiej radości kręci, jak obstrzępione skrzydła wiatraka. Wszystkiego naraz chce próbować: śpiewać, jeść i grać, czytać, biegać »motylem«. A krówki, którym słoma przejadła się na oborze, pasą się chciwie, jakby im kto pyski do ziemi poprzyklejał.

Słonko wysoko toczy się po niebie i świeci i grzeje swymi promieniami cały świat.

Podle ugoru sąsiad Bartek orze ziemię pod owies. A ziemia ta pachnie bardziej, niż fijołki w ogródku siostry. Za każdą skibą paruje woń przyjemniejsza, niż kadzidło w kościele.

Raj, prawdziwy raj!

Niedaleko pasą także koledzy i koleżanki Janka, ale on nie kwapi się do ich gromady. On rad dziś pozostać sam i... myśleć...

Od zachodu ciągną białawe chmury i rozprzestrzeniają się coraz więcej po jasnym sklepieniu niebios. Tak i myśli zakrywają horyzont duszy Janka...

Urwał młode ździebełko trawy, zgiął je w kółeczko wielkości pierścienia, a końce trzyma w palcach. Następnie wsadza je w usta i wysuwa ostrożnie z pomiędzy warg. Kółeczko wypełniło się przezroczystą błoną, na wzór szyby w ramie okna. Teraz zrywa

łodyżkę mlecza, puszcza kropelkę białego płynu na ową szybkę i wymawia zwolna:

»Wyjedź, wyjedź, czarny królu,
Twoje wojsko na Podolu
Posiekane, porąbane
I pod progiem zakopane«.

Błonka przybiera wszystkie kolory, jakie tylko ma tęcza, która w lecie często za la-

brzymi człowiek z mieczem w dłoni. Serce pastuszka bije, jak młot w kuźni o kowadło. Widnokrąg obraca się w okolo niego, jak kamień młyński naokoło żarnówki...

Wtem zagrzmiąło w oddali. Janek drgnął. Obrazek prysnął.

— To pierwszy grzmot — szepnął, a głośno dodał: — Hej! kto chce być mocny, tu, do mnie, »dużać się!« Lecz w pobliżu



Mieszczanie warszawscy zwyciężają Moskali pod wodzą szewca Kilińskiego.

sem wodę popija. Kolory te kłębią się, mieszają, jak niekiedy chmury na niebie. Wreszcie tworzą się coraz wyraźniejsze i wyraźniejsze kształty. Janek zapiera oddech, aby czarownej tafelki nie zdmuchnąć. O dziwo! Już wyszedł koń, a na nim ol-

niema nikogo. Żeby choć płot był, albo co innego, to »potar mosił«, by nim trochę i przeto zapewniłby sobie siłę na cały rok, a tu nic, a nic...

Grzmot powtarza się silniej. Mały bohater rzuca się na ziemię, rwie ją, drze, szarpie...

— Nie byle z kim ja się »dużam«. Ziemia to jest »mocna«, bo, jak mnie w szkole uczyli, miliony mil w krótkim czasie przebiega. Niechże więc zabiorę jej trochę tej mocy. Niech będę mocny, jak ów wicher, co stuletnie dęby z korzeniem wyrywa, co zrywa dachy z chat tak łatwo, jakby kapeluch z głowy pracującego w polu chłopa. Niech będę mocny, abym mógł udźwignąć tyle żelaza na sobie, co ów król czarny, pokutujący pod ziemią na błoniach medycznych.

Podniósł płonące oczęta w kierunku kłębiących się chmur i ujrzał tam to samo, co miał przed chwilą w swoim czarownym zwierciadełku.

Odłam chmury posuwał się szybko na tle czystego nieba na wschód, wyprzedzając inne. Z początku była to jakaś zbita masa, potem zaczęła się kształtować w coś, podobnego do zamczyska na górze w lesie,

z czego powstała wkrótce postać ptaka o jednym skrzydle, wreszcie oczom Janka przedstawiło się widmo ogromnego rycerza na koniu. A widmo to podobne zupełnie do poprzedniego »Czarnego króla z Medyki«, z tą tylko różnicą, że gdyby upadło na ziemię, to zakryłoby sobą całą wieś. Dusza Janka rwie się do tej postaci, wtem kształty się psują, rozwiewają, nikną...

Łysa, która pochłonęła największą cząstkę Jankowego śniadanka, zbliża się znowu do swego pastuszka i patrzy nań wypukłymi oczyma, jak na dziwo. Tuż w bruzdzie leży podartem dnem do góry słomiany kapelusz, koło niego czarna, oblepiona smołą fujarka, a kartkami w książce, leżącej na kaftanie, igra wiatr. Janek stoi podobny do posagu św. Jana na moście a dusza jego goni kędyś daleko, daleko pędzi... z biegiem chmur...

Kazimierz Króliński.



Oj ty, wierzbinie,
Nasza drzewino,
Jakaś ty droga,
Skromna, uboga.

Z ciebie, ja z ciebie,
Fujarkę zrobię, —
Będę wygrywał.
Piosenki śpiewał.



Oj, ty wierzbinie!

Tam, w tej dolinie,
Gdzie strumyk płynie,
Tam ja usiędę
Grat, śpiewał będę...

Z twojej gałązki
Zrobię obrączki,
J krzyżyk zrobię,
Źstawię na grobie, —

Na ten grób drogi,
Skromny, ubogi, —
Grób to wolności:
W nim druha kości...

W. Zawada.





Nasze * obrazki.



Nie nowinę Wam przynoszą, drodzy czytelnicy, obrazki w dzisiejszej »Zorzy«, bo zapewne już nieraz słyszeliście o Janie Kilińskim, o tym szewcu-bohaterze z Warszawy, który się krwawo i sławnie, bo na tysiącu łbach moskiewskich ostrzem swej szabli zapisał, który, jak sam powiedział, jedną mając duszę, pragnął ją na obronę Ojczyzny poświęcić; a o Bartoszu Głowackim i o Ra-

clawicach kóżby w obszarze Polski nie wiedział? Przecie jednak przypomnieć o bohater-skich czynach nigdy nie zawadzi, zwłaszcza, że w tym właśnie miesiącu, w kwietniu, przypada rocznica owych chwil pamiętnych! Raciławska bitwa została stoczona 4 kwietnia 1794 r., a mieszczenie warszawscy powstałi pod wodzą Kilińskiego 18 kwietnia.

Więc na pierwszym obrazku widzimy Krakusów, nacierających z ogromnym rozpędem na kanonjerów moskiewskich, tak, że ci, mimo swej siły, strachem są poprzerażani. Widzimy w dali Kościuszkę w jeneralskim stroju, jak z wyciągniętą w górę szablą i z obróconą ku krakusom twarzą zdaje się komenderować: »Chłopcy! wziąć mi te armaty!« A jednej z armat na wzgórze dopadł już Głowacki, w jednym okamgnieniu czapką startł proch, by nie wystrzeliła, bo, jak widać, jest obrócona paszczą ziejącą ku nadbiegającym Krakusom, — poczem wsparł się na kosisku i z tryumfem zwycięzcy obziera się na swoich... Bo też to tryumf, jakiego chłop polski nie widział przedtem!...

Na drugim znowu obrazku widzimy zarty bój na placu, w Warszawie, przed kościołem św. Krzyża. Po lewej stronie mieszczenie warszawscy, uzbrojeni jedynie w szable i pistolety — po prawej zaś moskale, nacierający z blizka bagnetami, lub strzelający w zwartą ciżbę z dalsza. Z zawziętych twarzy widać, że to bój na śmierć i życie. Ki-

liński dowodzi. Sam potem w pamiętnikach swoich tak mówi o tej chwili: »Można powiedzieć, że kto nie widział cudu, to mógł go bezpiecznie przed św. Krzyżem zobaczyć«. Bo też cud był — jeden pułk polski i mieszczenie, z wojaczką nieobznajomieni przeciwko chmarze moskali — cud był zmóźdz i pobić wroga. A przecie go zmożli!...



Listy do „Zorzy“.

Ćwitowa. W marcu.

Szanowna Redakcjo!

Jak tylko *Zorza* zaczęła świecić swoim czytelnikom, to i ja od samego początku wyczytywałem zamieszczane w niej piękne artykuły, powiastki i wiersze. I bardzo mi się to wszystko podobało. To też tak umiłowalem *Zorzę*, iż zdaje mi się, że dokąd żyć będę, to nie przestanę jej czytywać. Zarazem życzę, aby »*Zorza*« nietylko w każdej wiosce, ale w każdej chacie czytana była, aby jej czytelników nie na setki i tysiące, ale na miliony liczyć można było.

Jeszcze króciutkie słowo i prośba do Redakcji. Jak rzekłem: czytałem już różne opowiadki, pisane do »*Zorzy*«, a teraz ja nieśmiało prosilibym o jedną. Siedemnaście lat temu, jak byłem w Krakowie. Co ja tam nie widziałem, to opisać nie zdołam, bo nie jestem na tyle uczony; boć to, co umiem — czytać, pisać — to się sam z siebie nauczyłem, ani dnia w żadnej szkole nie bawiłem. Z tego, com widział w Krakowie, najwięcej ciekawości wzbudziła we mnie *Ręka wka*, odbywająca się na Podgórzu we wtorek po wielkiej Nocy. Tam, na pochyłej, stromej górze ubodzy ludzie zbierają chleb i różne rzeczy do jedzenia, co im z góry panowie rzucają. Co to ma znaczyć, to nie mogę wiedzieć. Może Pani mają kogo

✓ ze znajomych w Krakowie, to się coś o tej Rękawce dowiedzą lepiej, niż ja, i napiszą do »Zorzy« dla czytelników swoich, a i ja się przy tej okazji dowiem coś więcej. A proszę mnie w »Odpowiedziach« powiadomić, co Pani zrobią z moją prośbą,

Szczerze oddany czytelnik,

Józef Rudnicki.



Szanowna Redakcjo!

Przebywam w powiecie Rohatyńskim. Są tutaj kolonie Mazurów od Żywca i jakieś dawne osady, gdzie się jeszcze dotychczas zachowała ludność polska. Powoli poznałem się z tymi Polakami, którzy przeważnie umieją czytać.

Dzisiaj rano, udając się na robotę, oglądałem cudowny wschód słońca, a przedtem zórz.

»A żebyś ty, jasne słońko, wiedziało,
»Co na ziemi jeszcze cieniów zostało«...

przyszło mi na myśl z wiersza Kononickiej, który był w »Zorzy«. I wśród ludzi tutejszych jest dużo cieniów.

W niedzielę poszedłem poznawać okolicę. Przeszedłem długą wieś ruską — wszędzie niechętnie spojrzenia, nikt nie powie: »Sława Jezusu«. Następnie zaścianek szlachecki — zruszczony, gdyż szlachcice rozmawiają w domu po rusku, — następnie wieś z polskim kościółkiem i szkołą. Lud rozmawia między sobą po rusku, a w kościółku odprawia się często całe nabożeństwo po rusku. Kazanie po rusku, zapowiedzi nawet czytał po rusku i »Światy Boże, Światy krypkij« ciągnął pop po nabożeństwie. Byłem przypadkiem na takim nabożeństwie. Aż mi krew krzepła. Szedłem dalej i trafiłem do jakiejś małutkiej wioszczyny. Drogą idzie kobieta, trzyma książkę do nabożeństwa w ręce i odmawia półgłosem różaniec: »Chwała Ojcu i Synowi«... a wymawia to tak śliczną polszczyzną, jaką słyhać na północ od Przeworska. Po pochwaleniu Boga, zawiązałem z nią rozmowę.

Dowiedziałem się od niej, iż ich wieś jest polska, że umieją prawie wszyscy czytać, bo i starzy nawet; ona umie i pisane, a dzieci daje uczyć »bo to miło umieć czytać«. Pytam: — A jakimże cudem Bożym zachowaliście dotychczas polskość, gdy Ło-

pusznianie (Łopuszna — zaścianek szlachecki, wyż wspomniany) już się zruszczyli?

— »My, proszę pana, chowamy nasz zwyczaj, choceśmy chłopci, a Łopusznianie noszą się po szlachecko, lecz mowią po rusku.« I miała rację. Bilińscy, Karczewicze, Motylewicze, Witkowsy, Martynowicze, Gołębiowscy wszystko zruszczone, a lud polski: owi Łabasy. Grace, Plekańce, Figury, Procyki, Strzałki, Wojtyły są Polakami. Najprzykrzejszem jest to, że ci zruszczeni wiedzą o swem pochodzeniu. Raz mówię do Witkowskiej: — »Wy Rusinka?« — »A tak, ale ja szlachciana polska.«

Zamojski wie, że byli dawniej wielcy panowie Zamojscy w Polsce.

Otóż polecam tych ludzi Szanownej Redakcji i proszę dla nich o pokarm duchowy.

Ci, co przybyli niedawno w te strony, śpiewają mażurki śliczne, krakowiaki porywające, śpiewają o Wiśle, która prosi matki góry, aby ją puściła z góralami, bo chce zobaczyć Kraków!

Życzliwy czytelnik, Franek z Lipnicy.



ROZMAITOSCI

Alleluja! Alleluja! Wesoly dzień nam nastał — dzień Zmartwychwstania. Słońko złote świeci na niebie, dzwony biją radośnie w powietrzu wiosennem, — twarze ludzkie jaśnieją weselem, ręce wyciągają się do bratniego uścisku, a z głębi duszy biegną na usta słowa życzeń, takich szczerych, takich serdecznych! Pomyślność, zdrowie, szczęście niech się staną udziałem każdego z osobna. A dla nas wszystkich niech zaświeci sprawiedliwość. Niech w ciemność grobu zstąpi wszelka krzywda, wszelki fałsz, a niech odtąd świeci i króluje na wieki — Prawda!

Wielki Tydzień. Świeżo mamy jeszcze w pamięci uroczyste dni przedświąteczne z rzewniami ich zwyczajami, jak oto: obchodzenie grobów, nočna uroczystość rezurekcyi i wzajemne odwiedziny przyjaciół i znajomych. Sądę więc, że czytelnicy „Zorzy“ posłuchają chętnie, co mówi o Wielkim Tygodniu Adam Mickiewicz. „Godna uwagi — pisze ukochany nasz poeta w jednym ze swoich artykułów politycznych — że nigdzie w chrześcijaństwie nie obchodzono tak Wielkiego tygodnia, jak w Polsce. Naród nasz zdaje się mieć przeczucie, iż to święto cierpień, męki i zmartwychwstania, będzie kiedyś symboliczną uroczystością odrodzonej Polski. Przodkowie nasi radzi byli, kiedy im się zdarzyło stoczyć bitwę w Wielki Tydzień; wróżyli sobie pewne zwycięstwo. Wiele ważnych pamiętek historycznych łączy się do tej epoki: powstanie Warszawy za czasów Kościuszki, powstanie Jasińskiego w Litwie także za Kościuszki, nakoniec zwycięstwo pod Wawrem i Dębem w 1831 r. Mamy już w kalendarzu narodowym święta na Wielki Tydzień; będziemy je mieli i na dzień zmartwychwstania!“

✓ **P. Jan Kubisz,** Szanowny Autor pieśni o Olzie, którą podaje dzisiejsza „Zorza“, jest Ślązakiem i pełni w rodzinnej swej ziemi zaszczytne a trudne obowiązki nauczyciela ludowego, — rektora, jak tam powiadają. Urodził się pod wiejską strzechą, wyszedł z ludu, podobne jak cała bez wyjątku inteligencja, która przoduje dziś Śląskowi w jego życiu moralnem, umysłowem i politycznem. P. Jan Kubisz pisał i ogłaszał drukiem bardzo wiele krótszych i dłuższych pieśni, a część ich wydał w osobnym zbioru pod tytułem: „Niezapominajka“. Wszystkie utwory tego serdecznego poety odznaczają się szlachetną myślą, gorącym uczuciem i budzą w sercach czytelników miłość do tego, co najdroższe i najświętsze na ziemi — do Ojczyzny.

Okazałe święcone. Wielkanoc bywała zawsze uroczystość obchodzona w Polsce. Gościnność i miłość bliźniego, wrodzone naszemu narodowi, kazały bogatym dzielić się paschą z uboższymi. Nin zapominano nawet o więźniach. W wielu miejscowościach naszego kraju istnieje zwyczaj posyłania do więzień kołaczy wielkanocnych, mięsiwa i jaj dla nieszczęśliwych, co w ciemnej kaźni spędzają dzień zmartwychwstania, a nie mają nikogo z blizkich, coby o nich pamiętał.

Po dworach wiejskich za dawnych czasów zastawiano święcone z wielkim przepychem i zbytkiem. Zbytek ów musi nas razić, gdy

pomyślimy o ubóstwie, które panowało nieraz w chatach wiejskich. Z zajęciem jednak czytamy opisy onych zastaw wielkanocnych, dają one bowiem poznać dawne zwyczaje, dawne życie butnej magnaterji. Chcę więc przytoczyć w tem miejscu opis niezwykle okazałego święconego u księcia Sapiehy w Dereczynie za bardzo dawnych czasów, bo aż za czasów króla Władysława IV. a więc dwieście kilkadziesiąt lat temu.

„Stało cztery przeogromnych dzików — powiada kronikarz, który to święcone opisał — to jest tyle, ile części roku, każdy dzik miał w sobie wieprzowinę, to znaczy szynki, kiełbasy, prosiątka. Kuchmistrz najcudowniejszą pokazał sztukę w upieczeniu całkowitem tych odyńców. Stało dalej dwanaście jeleni, także całkowicie pieczonych, ze złocistemi rogami, nadziane były rozmaitym zwierzyzną, więc: zajacami, cietrzewiami, dropiami, pardwami. Te jeleni wyrażały dwanaście miesięcy. Na około były ciasta sążniste tyle, ile tygodni w roku, to jest pięćdziesiąt dwa, całe cudne placki, mazury, żmudzkie pierogi, a wszystko wysadzane cukrami. Za tem 305 babek, to jest tyle, ile dni w roku. Każde było ozdobione napisami, że niejedyn tylko czytał, a nie jadł. Co zaś do napojów: były cztery puhary, odpowiednio do czterech pór roku, napełniono winem jeszcze od króla Stefana Batorego. Dalej 12 konewek srebrnych, z winem po królu Zygmuncie, te konewki na pamiątkę 12 miesięcy. Zaczem 52 baryłek także srebrnych odpowiednio do 52 tygodni, było w nich wino cypryjskie, hiszpańskie i włoskie. Dalej 365 gąsiorków z winem węgierskiem, więc tyle gąsiorków, ile dni w roku. A dla czeladzi dworskiej 8700 kwart miodu, robionego w Brezie, to jest ile godzin w roku“.





Rady gospodarskie.

Kilka uwag co do hodowania kur.

O urządzaniu gniazd i liczbie podkładających się jaj. Kura pokazuje chęć swą do siedzenia przez kwoktanie i przesiadywanie na gnieździe. Trzeba jej przeto w miejscu ciemnym i ustronnym urządzić gniazdo w przetaku, lub niewielkim koszu, wysłanym sianem, w którym zrobiwszy dołek, ułożyć w nim szczelnie i porządnie kilkanaście jaj, które można naokoło otoczyć wieńcem ze słomy, dla tego, aby się nie rozsuwały, i żeby się ciepło lepiej w gnieździe trzymało. Jeśli się kurę sadzi w zimnej jeszcze porze, nie więcej pod nią jaj kłaść trzeba, jak 13-cie, gdyż większej liczby nie mogłaby dobrze objąć i ogrzać, lecz w czasie cieplejszym można jej podłożyć od 15-tu do 17-tu. Posadziwszy kurę w gnieździe, należy takowe z lekka przykryć deszczułką jaką, lub starym przetakiem i tak ją zostawić przez dwa lub trzy dni, spuszczać ją tylko czasem na krótki czas do jedzenia; później można ją odkryć, gdyż zasiedziały jaj pewno nie opuści. Tym zaś, coby do gniazda swego wracać nie chciały, w gnieździe jeść dawać trzeba, z ręki trochę jęczmieniu moczzonego, konopi, pszenicy lub prosa.

O wyborze jaj, kładzionych pod kurę. Ponieważ nie każde jajo zdatne jest do zależenia, należy je przeto pilnie przeglądać przed słońcem, lub świecą, odrzucając te z nich, które są nakrapiane białymi, przezroczystymi kropkami, jakby były pokłóte. Z takich bowiem doświadczone, iż nigdy kurczę nie wyjdzie. Trzeba także uważać,

aby jaja były ciężkie; bo takie tylko mają w sobie prawdziwy zarodek, co się najłatwiej rozpozna, pławiąc je w letniej wodzie: lekkie, pływające po wierzchu, jako niezdatne, mają być odrzucone, zostawić należy te tylko, co na dno opadną. Jaja nie powinny być starsze nad 3 tygodnie, wstrząsać ich i kłócić nigdy nie wypada. Z ostro-kończatych wychodzą kogutki, z okrągławych kwoczki.

Czem się karmi kura siedząca. — *W połowie siedzenia przezierają się jaja.* Kura zwykła siedzieć na jajach od 19 do 21 dni. W czasie siedzenia powinna być dostatecznie karmiona jęczmieniem moczonym, rozmaitemi pośladami, lub okruchami chleba, ale nigdy odymającymi, a mało posilnymi pokarmami, jako ziemniakami i t. p. Woda często powinna być zmieniana, izba wietrzona, starannie umiata i oczyszczana, równie też gniazdo, opatrywane w czasie, gdy kura je opuszcza dla żeru, co się przytrafia raz na dzień z rana przez kwadrans. W czasie tej jej niebytności, jaja powinny być płótnem, lub czemś innem ciepło okryte. — W 7-m lub 8-m dni po zasadzeniu kury, przezierają się znów jej jaja przed słońcem, lub świecą, i odrzucają się te, które są przezroczyste i światłe, równie też i te, co są całkiem ciemne; zostawiając te tylko, co do połowy będąc światłe, w drugiej są ciemne, lub te, co na wierzchu żółtka mają ciemny punkcik, te bowiem tylko są upłodnione i zarodek w sobie mają. Dobrze jest sadzić tegoż samego dnia razem kilka kur, aby po takim wybrakowaniu jaj, dobre pod jedno podkładać, a pod te, pod które ich zabraknie, inne świeże podsypać.

Wychodzenie piskląt z jaj. — *O przetwarzaniu wol upiskląt.* Od dnia 19-go do 21-go trzeba już przeglądać, czy też pisklęta nie poczynają się wykluwać. Silniejsze same sobie poradzą, jeżeli ich starka ani na chwilę nawet dla żeru nie opuści; kura bowiem może przez 2 dni ostatnie obejść się bez pokarmu, a jeśliby okazywała chęć siedzenia, lepiej karmić ją na gnieździe; słabszym jednak, długo mordującym się pisklątom, cokolwiek wykluwaniu się podpomagać należy, nadbijając zlekka łupinę jaja i nadłamuując ją ostrożnie i po trochu około otworu przez pisklę już wydziobanego. — Te, co wyszły z jaja i już oschły, usadzać natychmiast, albo pod matkę do ciepła i miękko wysłanego gniazda, albo do garnka, pierzem napełnionego i trzymać w ciepłym miejscu przynajmniej przez jedną dobę, nie im jeść

nie dając, aż nim się woli nie pozbędą. Przez ten jednak czas z parę razy wysadzać je na podłogę należy, a tymczasem pierze w garnku oczyścić i przewrócić, aby kurczęta w suchem i czystem siedziały. Jeśliby po 54 godzinach piskłęta jeszcze się okazywały ciężkie i osowiałe, trzeba je dalej bez jadła w garnku trzymać, aż póki przetrawiszy wolę, nie staną się lekkie i rzeźwe. Podesłanie ze słomy w pierwszych dniach koniecznie jest potrzebnem.

Czem się karmią kurczęta nowo wyłgłe. Piskłęta w pierwszych dniach karmią się jak najdrobniejszymi krupkami jęczmieniemi, dobrze rozmoczonemi w wodzie, lub prosem. Niektóre gospodynie dają im jaja, twardo ugotowane i posiekane, lecz pokarm ten służy tylko kurczętom w czasie biegunki (którą wstrzymuje), inaczej zaś sprawić im może śmiertelne zatwardzenie. Szczypiórek zaś od trybulki lub cebuli w małej ilości co tydzień do jadła przymieszany od wielu ich chorób broni. Wodę, ciągle zmienianą stawić im trzeba w płaskich naczyniach, w głębokich bowiem łatwoby się topić mogły.

Jak długo się piskłęta w izbie chowają i jak się oswiają z powietrzem. — Kurczęta po 2-ch lub 3-ch tygodniach jak się karmią. Jeżeli ciepło i pogoda na dworze, przez 5 tylko pierwszych dni trzymają się kurczęta w izbie cieplej, ale przewietrzanej, a potem mogą się oswajac stopniowo z wolnem powietrzem. Zrazu na krótko tylko, ale często na dwór je wypuszczać trzeba, rozumie się, kiedy ciepło i pogoda, a później, gdy pogoda sprzyja, niech ciągle na dworze zostają. Wypuszczając na dwór, należy pilnować, aby nie lażyły w bujną i gęstą trawę, gdzie przy obfitej rosie lub wilgoci łatwoby mogły przemoknąć, zaziębić, a później chorować. — Po dwóch tygodniach kurczęta poczynają się coraz mniej karmić: gdyż chodząc po dworze, znajdują nasionka traw i robaczki; jednak ponieważ jeszcze się same nie wyżywią, trzeba im kiedy niekiedy posypywać krupek i pośladu. Gdy już w piórka porosną, karmią się razem ze starem.

* * *

Pranie perkalow białych. Prać je najlepiej w ten sposób: Zamoczyć w zimnej wodzie, wykręcić, potem namydlić dobrze, poskręcać i tak zostawić z mydłem na noc. Na drugi dzień rano rozkręcić, strzepnąć, nalać zimną, miękką wodą, najlepiej de-

szczową. Potem każdą z kolei sztukę prać starannie w dwóch wodach, mydląc i odcierając, a w końcu wypłukać w twardej, zimnej wodzie z farbką. Perkalów nigdy nie trzeba zaparzać, bo od tego żółkniją.

Na wszelki wypadek dodam, że jest też sposób na odbielanie zażółconych perkalów. Trzeba je mianowicie moczyć przez cały dzień w dobrze przekwaśnionej serwatce, a potem wyprać z mydłem w wodzie. Jeżeli odrazu białość nie puści, to po doskonałem wysuszeniu powtórzyć to zamaczanie w serwatce.

Dobrze jest także namydlić rzecz zażółconą i nie płócząc, rozesać na słońce i rosę. Rano z rosy wypłukać zaraz, wysuszyć doskonale i znowu namydliwszy, rozścielać, przewracając na obie strony i polewając wodą, aż póki się rzecz wybieli.

W zimie można perkale na śniegu rozścielać, aż się wybiela.



Odpowiedzi od Redakcji.

Wszystkich Szanownych Czytelników przepraszam serdecznie, że na listy święteczne odpowiem dopiero później, ale zato sążniście długimi listami.

Pp. J. Macurak, J. Łyżbicki, H. Flamme, St. Firla, J. Brestfer, J. Pichal, F. Kurc i inni we Frysztacie. Myśl biegnie szybko, szybciej, niż strzała, więc w jednej chwili staję w życzliwem waszem kole. Panowie, i wznoszę toast w ręce solenizanta, na cześć wszystkich wiernych synów ziemi śląskiej. A wznoszę go nie winem iskrzącem się, lecz czarą braterstwa, pełną przesłodkiej w przyszłość nadziei: „Niech żyją nam!“ — jak mówi piękna pieśń, którą

tyle i tyle razy słyszałam na dolinach i w górach śląskich.

P. Józef Rudnicki w Cwitoży. Odpowiedz na Wasz list znajdziecie w innym miejscu, miły Panie Czytelniku. Tu chcę Wam tylko podziękować za dobre słowa i za życzliwość. Pytania Czytelników sprawiają mi zawsze żywą przyjemność, ale Wasze przyszły jak najbardziej w porę, bo obchód „Rękawki“ wiąże się ściśle z Wielkanocą, którą teraz właśnie święcimy wesoło i radośnie.

P. M. Kmiotek pod Krosnem. Zасыłając szczere pozdrowienie, donoszę, że posyłamy regularnie „Zorzę“ wedle wskazanego adresu do Ameryki. Ale kto wie, czy gazetka dochodzi, bo adres wydaje się niedokładny.

Sz. Czytelnia ludowa w Zabierzowie. Miło mieć czytelników w sławnej ziemi krakowskiej, to też raduję się prawdziwie, że „Zorza“ odrazu pozyskała tam tylu przyjaciół. Z nadeżdżającą wiosną zasyłam życzenia, aby pomyślnie poszły siewy, a kośba udała się jeszcze lepiej.

P. Ewa Sabelówna w Trzanowicach dolnych. Dotąd myślałam często o Trzanowicach, z którymi łączą się dla mnie takie miłe, takie niezapomniane wspomnienia. Ale teraz myśl zwraca się często i do Trzanowic dolnych, skoro i tam tyle dobrych znajduje się ludzi.

P. Ludwika Heczkowa pod Jabłonkowem. W sławnym Jabłonkowie, gdzie to „rozumieją każdej mowie“, gdzie zamieszkują synowie sławnych wojaków, „co to wojowali z Węgrem, Turkiem, szli na szanice z Brandeburkiem“, „Zorza“ miała dotąd mniej czytelników, niż w innych stronach ziemi śląskiej. Przyjmijcie więc, Szanowna Pani, szczere podziękowanie za tak świetnie zrobiony początek.

P. R. Janicki. Ależ nie chcemy żadnych wyjaśnień. Toć przecie niezmiernie pochlebne dla gazetki, jeżeli kto jej wygląda z taką niecierpliwością, że o jeden dzień spóźnienia gotów rozpocząć wojnę.

P. J. Marchewicz. Jako od razu tyle życzliwości? To chyba za dużo. „Zorza“ i tak błędnie z zakłopotania i zmartwienia, że czytelnicy są zbyt dla niej pobłażliwi i sądzą ją przychylniej, niż na to zasługuje.

P. J. Brak w Komorowicach. Obowiązkiem gazetki jest wysłać po raz drugi zatra-

cone na poczeie numeru. Proszę więc o to się nie troszczyć i nie a nie o tem nie myśleć. Szczere pozdrowienia i wiele najlepszych życzeń zasyłam.

P. Karol Baron w Pietrzykowicach. Jeden z nadesłanych wierszyków „Zorza“ umieściła w marcowym numerze. Natomiast inne, choć wiele w nich poczeiwych myśli i uczuć, są za rozwlekłe i nie nadają się do gazetki. Ale proszę się tem nie martwić: nie od razu Kraków zbudowany.

P. Paweł Ferfecki w Ustroniu. Od stóp wyniosłej Czantorji płyną ku mnie zawsze miłe głosy. We wnętrzu tej góry znajduje się wprawdzie z dawien-dawna zaśnieżone wojsko, ale dzisiejsi jej mieszkańcy mają widać duszę bardzo rozbudzoną, bardzo żywą. Ohwała im za to!

P. Franciszek Szubra w Suchodole. Drogi Panie! Pamiętam jeszcze z czasów Wystawy Waszą dobroć, Waszą pogodną twarz, srebrnym okoloną włosem, że ośmielałam się powtórzyć tu, choć bez pozwolenia, słowa Waszego listu:

„Czuając nie stłumiony żal za działość, nie-miłosierdzie katowaną przez hakatę pruską, jako dowód współczucia, przesyłam groszową składkę, na którą złożyła się cała wieś, albowiem nie pozostało ani jednego domu takiego, aby grosza nie było. A szczególnie dawały kobiety i dzieci, wyrażając tem współczucie i czyniąc wzgardę i oburzenie na hakatę pruską“.

Pozostajemy z poważaniem

Franciszek Zajdel, wójt
Franciszek Szubra i wszyscy.



TREŚĆ: Skowronek. — Rękawka. — Nad Olzą. — Piąty dzień po Wielkiejnocy na Litwie. — Pierwszy raz w pole. — Oj ty, wierzbino! — Nasze obrázky. — Listy do Zorzy. — Rozmaitości. — Odpowiedzi od redakcyi. — Rady gospodarskie.